

Jolanta Małgorzata Koziół: Odlot na Marsa

Wreszcie dostałam zgodę na podróż do Wenus.

Tak, tej Wenus.

Ten, kto został na Ziemi i zawsze twardo po niej stąpał wybrał czas na rozstanie, gdy byłam już cztery tysiące kilometrów od niego.

Nie chciałam już wracać.

W zasadzie wszystko zależało ode mnie, czy pozwolę nam wszystkim wrócić czy nie.

W nocy, gdy koledzy spali, chociaż trudno w kosmosie mówić o dniu czy o nocy, obrałam kurs na Marsa i obliczyłam trajektorię lotu w taki sposób, żeby rozbić się o jego zimną skorupę.

Wystygłam jak dusza mojego kochanka.

Jeden z kolegów chyba coś wyczuł. Nabrał podejrzeń.

Częściej ze mną rozmawiał i gdy unosiliśmy się obok siebie w nieważkości, brał mnie za rękę i patrzył mi w oczy.

Miałam wtedy długie włosy i starałam się, żeby zasłaniały mi twarz.

Jednak coś go niepokoiło i gdy wypadał mój dyżur był zawsze blisko mnie.

Inni spali przywiązani do swoich pryczy.

Otaczała nas ciemność. Trajektoria lotu była obliczona tak, żebyśmy rzadko widzieli Słońce. Jego promienie mogły uszkodzić cenny ładunek.

Było mi wszystko jedno. I tak wokół panowała noc.

Jak może się czuć astronautka, gdy na monitorze widzi litery. Każda z osobna to po prostu litery. Problem w tym, że układają się w graficzny wzór, jak ręczna koronkowa robótka. Gładko, w ściegu, jedna za drugą:

Spotkałem kogoś. Zostaję na Ziemi. Nie wracaj.

Łzy unosiły się koło mnie, nade mną, płynęły bezgłośnie, a przecież każdy mililitr płynu jest cenny w kosmosie. Uczono nas, jak odzyskiwać wodę z moczu, jak myć się we własnych przetworzonych odchodach. Cenne minerały znikwały w oddali i osadzały się na ścianach kabiny, po czym jak na złość odbijały się i wracały, spotykając po drodze nowe i gromadząc się w grupy łez, może przez to rażniejsze.

Pech chciał, że jeden z członków załogi natknął się na moją łzę. Postępując zgodnie z regulaminem poddał ją analizie chemicznej i uzyskał wynik: ludzka łza.

Członek załogi jest bacznie obserwowany przez dowódcę i bazę naziemną.

To ja byłem dowódcą, podlegałam jednak kontroli naziemnej.

Na monitorze natychmiast pojawił się komunikat: *Znaleziono twoją łzę. To niepokojący objaw. Może masz zapalenie spojówek. Musisz powstrzymać stan zapalny.*

Masz wykonać sobie iniekcję, jak najszybciej. Dożylną. Bez znieczulenia.

Na statku kosmicznym mamy apteczkę.

Na jej dnie jest pojemnik z cyjankiem potasu.

Dostęp do tych cennych zasobów jest ograniczony.

Pojemnik otwiera specjalne hasło, którego nie znam. Jest ukryte w miejscu, do którego mam dostęp, lecz jestem obserwowana przez wiele par oczu i nigdy się do niego nie zbliżałam.

W razie perforacji zewnętrznej powłoki pojemnik otwiera się sam.

Nie ma serwisu, nie przyjedzie po nas laweta, nie odholują nas do najbliższej stacji, bo tu nie ma żadnych stacji.

Jest tylko nadzieja.

To była pierwsza wyprawa na Wenus w historii świata. Nikt nigdy tam nie był. Miałam być wybranką losu.

Przez wiele lat ciężko pracowałam, żeby zdobyć zaufanie NASA. Najgorzej było na testach psychologicznych, piekielnie ciężkich. Pytania miały wiele podchwytliwych haczyków, układało je grono wybitnych psychologów wybranych spośród elity z całego globu.

Udało mi się złamać ich klucz. Wiedziałam, gdzie zakreślić „tak”, a gdzie „nie”. Gdzie wyrazić wątpliwość. Ukryć moją kruchość. Ktoś, kto wybiera się na Wenus musi być silny. Udało mi się oszukać cały sztab specjalistów, żeby wreszcie wyruszyć.

Wyprawa na Wenus śniła mi się od dzieciństwa.

Planeta z moich snów prawie zawsze była czerwona, ognista, spalona. A jednocześnie przyciągająca silną grawitacją.

Wieczorami czekałam, aż się pojawi i kołysałam się na jej promieniach, próbując wspiąć się do góry, ale zawsze spadałam.

Wiedziałam, że nie spocznę, jeśli tam się nie wybiorę.

Sprzyjały mi wszelkie okoliczności. Zdałam testy wytrzymałościowe. Byłam bardzo sprawna, błyskotliwa intelektualnie i giętka fizycznie.

W symulatorze lotów mogli mnie wirować godzinami, bez wody i wypoczynku. Zaliczyłam wszystkie testy. Przecież miałam cel. W końcu musiałam dostać się na Wenus.

Byłam już tak blisko, gdy Ziemia wysłała wiadomość. *Wracaj. Straciłaś Wenus, oddaliłaś się za daleko od właściwej trajektorii. Błąd w nawigacji będzie cię dużo kosztował. Gdy wrócisz, musisz za to zapłacić, albo gdy nie wrócisz, nie ma to znaczenia, bo podpisałaś kontrakt, z którego wynika, że kolejne pokolenia będą musiały spłacić twój dług.*

Poniesione koszty muszą się zwrócić albo choćby zrekompensować. Nie stać nas na twoje odloty.

Chyba, że szybko skorygujesz lot i zastosujesz się do instrukcji.

Nie zastosowałam się. Postanowiłam odmówić współpracy.

Na Ziemi został ktoś, kto wybrał inny kierunek. Ja też. Zamiast lądowania na wymarzonej Wenus rozbiłam nasz statek na powierzchni Marsa.

Teraz wiecie już, dlaczego nigdy nie wróciłam na Ziemię.

Według was wciąż jestem w drodze na Wenus.